

Meszuga **ALKOHOLIK**

**Autobiograficzna opowieść
o życiu, pićiu, uzależnieniu
i wyzwoleniu. Cała prawda i...
historii ciąg dalszy.**

**NOWE WYDANIE
ROZSZERZONE!**



ALKOHOLIK

Dziękuję Ewie, Joannie, Katarzynie, paru Markom oraz kilkunastu innym podopiecznym i alkoholikom płci obojga. Z Wami ten świat jest zdecydowanie lepszym miejscem. To dzięki Wam wszystkim codziennie czuję się zobowiązany realizować w praktyce, we własnym życiu, wszystkie te niezwykle mądre rady i wskazówki, które ode mnie słyszycie.

Meszuga

ALKOHOLIK

**Autobiograficzna opowieść
o życiu, pićiu, uzależnieniu
i wyzwoleniu. Cała prawda i...
historii ciąg dalszy.**

Nowe wydanie rozszerzone

© Wydawnictwo WAM, 2016
© Meszuga, 2016

Wydanie drugie, rozszerzone

Redakcja: Zofia Palowska
Korekta: Dariusz Godoś
Opracowanie okładki: Andrzej Sochacki
na podstawie projektu Krzysztofa Błażejczyka
Skład: Edycja

e-ISBN 978-83-277-0595-2

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

*Tragedią naszego życia jest to, jak głęboko musimy cierpieć,
zanim nauczymy się prostych prawd, według których trzeba żyć.*

„Anonimowi Alkoholicy wkraczają w dojrzałość”

WSTĘP DO NOWEGO WYDANIA

„Alkoholika” pisałem jakieś siedem lat temu. Dawno? Niedawno? Czas zmienia ludzi, to prawda, ale życiowe doświadczenia chyba jednak bardziej. W każdym razie czas to dobry, choć wymagający nauczyciel. W jednym ze środowisk, w których się obracam (Anonimowych Alkoholików) popularne jest określenie *skazani na rozwój*. Zgadzam się z nim, choć dzisiaj dodałbym, że nie wszyscy alkoholicy na ten rozwój są skazani. Nie wiem jednak, dlaczego jedni z nas mają tak właśnie, inni natomiast bez tego nieustającego rozwoju świetnie sobie radzą. W każdym razie ja do tych skazańców należę, jednak nie dlatego, że tak postanowiłem, że mi się zachciało – w moim życiu nieustanny rozwój okazał się niezbędny, bo zauważyłem, że bez niego po prostu się cofam, a nie chciałbym się cofnąć do punktu wyjścia. Bez względu na to, czy oznaczałoby to powrót do destrukcyjnego, kasacyjnego picia, czy tylko (tylko?!) do tych trzech–czterech lat, kiedy wprawdzie nie używałem już alkoholu, ale sobie i innym, zwłaszcza rodzinie, bliskim, robiłem z życia piekło.

Nikt z nas nie wkracza w dojrzałość duchową z własnej woli lub w wyniku całkowicie wolnego wyboru.*

* Richard Rohr, „Spadać w górę. Duchowość na obie połowy życia”, WAM, Kraków 2013, s. 16.

Dla *skazanego na rozwój* alkoholika siedem lat to szmat czasu, na pewno znacznie więcej niż dekada dla kogoś zdrowego. W każdym razie w moim przypadku był to okres zaangażowanej aktywności, znaczących zmian; czas należący do puli kilkunastu najlepszych dotąd lat w życiu – przede wszystkim dlatego, że byłem... hm... bywałem przydatny. Ale nie tylko.

Kiedy piszę o zmianach, winien jestem wyjaśnienie. Mieszkam w tym samym skromnym, ciasnym mieszkaniu, w którym upijałem się do nieprzytomności ponad siedemnaście lat temu, w tym samym mieście, za oknem mam ten sam widok; od dawna uczestniczę w spotkaniach (zwanym u nas tradycyjnie mityngami) tych samych dwóch, trzech grup AA... Pozornie nic się u mnie nie zmieniło albo bardzo niewiele, jakieś detale może, ale dysponując nową parą duchowych okularów, żyję wprawdzie w tym samym albo bardzo podobnym otoczeniu, ale w wyrażnie i zdecydowanie innej już rzeczywistości.

Nie zmieniły się, rzecz jasna, fakty z mojej przeszłości, jednak w przypadku wielu z nich znaczącej zmianie uległa moja ich ocena, a wnioski wynikające z interpretacji wydarzeń, postaw, zachowań, decyzji, wyborów, ewoluowały z czasem, i dlatego zmiany w nowej wersji „Alkoholika” nie polegają jedynie na dopisaniu rozdziału „Ciąg dalszy nastąpi”.

PROLOG

– *Czy jest ktoś, lub coś, za co chętnie oddałbyś życie? Czy istnieje coś takiego, za co nie żał byłoby ci umierać?* – Pytania zawisły w martwej ciszy, a mnie ogarnęła nagle fala wspomnień...

O tak, przez prawie trzydzieści lat, bez chwili zastanowienia, potrafiłbym odpowiedzieć na takie pytania twierdząco, wyobrażając sobie ochoczo rozmaite okoliczności, sytuacje oraz ludzi, za których warto byłoby oddać życie. Zwłaszcza w jakiś wyjątkowo spektakularny, heroiczny, no i koniecznie romantyczny sposób. Jednak prawdziwy problem polegał, zdaje się, na tym, że przez wszystkie te lata ja-koś nie potrafiłem znaleźć ani jednego dobrego powodu, dla którego warto byłoby żyć...

Wtedy się zakochałem.

„Alkoholik” to historia wielkiej miłości; nieodwzajemnionej, zdradzonej, tragicznej i przekłetej. W alkoholu zakochałem się, będąc mężczyzną trzydziestoletnim, nie była to więc miłość od pierwszego wejrzenia, jednak nie mam najmniejszej wątpliwości, że szukałem jej, w pewnym sensie, od wczesnego dzieciństwa. To także historia powrotu do trzeźwości oraz osobistego rozwoju – duchowego i emocjonalnego.

Ludziom, którzy z alkoholizmem, czyli chorobą alkoholową, uzależnieniem, nigdy się bezpośrednio nie zetknęli, może się

to wydać nieprawdopodobne, ale wbrew pozorom i popularnym przekonaniom problemem alkoholika nie jest alkohol. Cóż więc nim jest? „Alkoholik” to próba znalezienia odpowiedzi na to pytanie. W moim przypadku próba, jak sądzę, udana. Szukałem pewnego wzoru, schematu, ciągu przyczyn i skutków, i znalazłem go.

Posługując się nieco wisielczym humorem, powiedziałbym, że „Alkoholik” to swego rodzaju instrukcja, jak zostać alkoholikiem, to znaczy, kiedy i w jakich okolicznościach dokonywać złych wyborów i błędnych decyzji, które w konsekwencji mogą doprowadzić do uzależnienia się od alkoholu albo jakiejś innej substancji zmieniającej świadomość. A poważnie – jest to przestroga i szansa. Jeśli Czytelnik zorientuje się, że w swoim życiu podąża moimi śladami, to może będzie miał jeszcze szansę zawrócić. Zawrócić, zanim straci dokładnie wszystko, zanim sięgnie dna, zanim piękny romans zamieni się w koszmarną tragedię, z której wszyscy wychodzą przegrani. Oczywiście ci, którzy przeżyją, bo nie wszyscy będą mieli tyle szczęścia. Może to być także szansa dla członków rodziny, współpracowników, kolegów, którzy dzięki lekturze będą mogli zorientować się szybciej, prędzej rozpoznać niepokojące objawy u kogoś bliskiego.

W Kanie Galilejskiej, podczas wesela, Jezus zamienił wodę w wino (J 2, 11). Ja byłem lepszym *magikiem*. Całymi latami, z morderczą skutecznością, tysiące razy zamieniałem w alkohol prawie wszystko, bo przecież nie tylko dobra tak przyziemne jak pieniądze, firmy czy stanowiska, ale także szacunek, godność, zaufanie, a nawet miłość dziecka i własne sumienie. *Cudotwórcą* być przestałem 15 stycznia 1999 r.

część pierwsza

DZIECIŃSTWO – MOZAIKA OBRAZKÓW
Z DAWNYCH CZASÓW

Historię tę rozpoczynam od wprowadzenia w tło i miejsce akcji oraz zaznajomienia z paroma ważniejszymi *dramatis personae* za pomocą kilkunastu obrazków, migawek z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Możliwe, taką mam nadzieję, że ułatwią one zrozumienie tego, co, jak i dlaczego wydarzyło się w okresie późniejszym, a także dzieje się obecnie.

Gromada przodków – obrazek 001

Moi przodkowie potrafili smakować milczenie. No, nie wszyscy, rzecz jasna. Tylko ci, których ojczyzną była Nizina Wschodnioeuropejska i którzy po opuszczeniu ojczystych stron do końca życia tęsknili za burzanymi porastającymi stromy brzeg Wołgi. Potrafili też pić na umór, nie zakąszając przy pierwszym litrze, ale to inna, choć nie mniej ważna historia.

Ta ćwiartka krwi rosyjskiej w moich żyłach powodowała, że bardzo dobrze rozumiałem, a nawet czułem, że smakowanie milczenia nie ma zupełnie nic wspólnego z pełną skrępowania ciszą, która zapada czasem w gronie osób niezbyt wyrobionych towarzysko. Milczenie – właściwie smakowane – zbliża ludzi chyba nawet bardziej niż seks lub wspólna cela.

W chwilach wolnych od smakowania milczenia lub picia, albo i jednego, i drugiego, bo smakowanie milczenia zupełnie nie wyklucza wspólnego upijania się, może nawet wprost przeciwnie, byli ci moi przodkowie otwarci, choć może niekoniecznie na nowości, wylewni aż do bólu i życzliwi, z tym że nie byle komu.

Brali też udział w wielkiej wojnie. Teraz wydaje się, że po stronie moralnie czystszej – jeśli coś takiego można powiedzieć o jakiegokolwiek stronie w jakiegokolwiek wojnie – jednak ważniejsze z praktycznego punktu widzenia było to, że po stronie przegranej. Mój dziadek miał szczęście: wprawdzie podczas przekradania się przez linie frontu i granice zgubił gdzieś żonę, ale ostatecznie jakoś się do Polski przedostał. Większość tyle fartu nie miała. Żona też się już nigdy nie odnalazła, ale... znalazła się nowa.

Niewielka część rodziny przywędrowała z północnej, niemieckojęzycznej części Lotaryngii. Jakiś pra... pra... potrafił obsługiwać i naprawiać maszyny dziewiarskie. W tym czasie w Łodzi przemysł włókienniczy rozwijał się dynamicznie, a nawet lawinowo, nic więc dziwnego, że dla fachowca miasto to mogło wydawać się ziemią obiecaną – warunki pracy i płacy w nowych łódzkich fabrykach były o niebo lepsze niż w starych zakładach miejscowych.

Ci przywieźli z sobą i dorzucili do wspólnego kotła konformizm, dyscyplinę, odpowiedzialność, rzetelność, specyficzne i nie przez wszystkich rozumiane poczucie humoru oraz organiczną, zdaje się, niezdolność do działań spontanicznych i beztrioskiej zabawy.

Wreszcie posiadacze pakietu większościowego, który oceniam na jakieś pięćdziesiąt procent – Polacy z centralnej części kraju. W zamierzchłej, XVIII- i XIX-wiecznej przeszłości mającą jakieś majątki z tysiącami hektarów, własne

wsie, a zwłaszcza jedna, której nazwa przypomina moje nazwisko.

Niestety, obecnej degrengolady nie mogę zrzucić na *komunę*, choć muszę przyznać, że takie rozwiązanie wygląda momentami bardzo kusząco. Prawda jednak jest taka, że pradziadek, poza tym, że posąg mojemu dziadkowi wypłacał ze trzy razy (dziadek zawsze go marnował), całą resztę majątku przehulał i roztrwonił. Sam, osobiście i własnoręcznie. Trafnie przewidując przyszłe dzieje państwa i narodu, zrobił to z jakąś mściwą i ponurą satysfakcją, pod hasłem: *Czerwonej Bolszewii nie zostawię nic!* To i nic nie zostało.

Polacy dali to, czego zawsze mieli pod dostatkiem, niestety: ponury pesymizm, *tumiwizizm*, smętne biadolenie, upodobanie do operowania skrajnościami, bo jak walka, to tylko do krwi ostatniej, jak zawziętość, to choćby zdechnąć, jak robota, to zrywem i do upadłego, jak picie, to na umór... Emocjonalność zamiast pragmatyzmu i zdrowego rozsądku. Lata mijają, a tu nadal... *czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkielko i oko*. Czy gdzie indziej nie było romantyzmu? Ależ był, jak najbardziej! Jako kierunek w sztuce. Jakoś nie przeszkadzał kupcom, rzemieślnikom, burżuazji i wreszcie przemysłowcom budować potęgę ekonomiczną państwa. A my, Polacy, z romantyczności uczyniliśmy cechę narodową, z której jesteśmy na dokładkę dumni, i posługujemy się nią radośnie i z zapałem w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym.

Cóż jeszcze? Narodową dumę, choć nie bardzo wiadomo z czego, oraz skrajny indywidualizm, który w praktyce skutkuje kompletną niezdolnością do organizowania się i jakiegokolwiek wspólnego działania. Aleksander Wielopolski (XIX-wieczny polityk, ordynat pińczowski, zwolennik reform) twierdził, że dla Polaków można czasem coś dobrego

zrobić, ale z Polakami nigdy... Właściwie dopiero Anonimowi Alkoholicy nauczyli mnie, że tak być nie musi.

W każdym razie, jeśli istniała jakakolwiek realna szansa na to, by z tej piekielnej mieszaniny powstało coś wartościowego, to ja jej nie wykorzystałem.

Opowieści rodzinne – obrazek 002

Nie pamiętam z dzieciństwa żadnych bajek. Nie pamiętam pewnie dlatego, że mi ich nie opowiadano. Dość dobrze za to pamiętam historie rodzinne, których domagałem się przed zaśnięciem oraz przy każdej innej okazji, albo i zupełnie bez okazji.

Różne opowieści i anegdoty z życia szacownych, no... może nie zawsze aż tak bardzo szacownych, antenatów opowiadały mi głównie babcia i matka, ale dziadek wraz z okazałą gromadą ciotek i wujków także miał udział w tym niecnym procederze.

Często opowieści wzbogacane były prezentacją starych, pożółkłych fotografii sięgających połowy XIX wieku – te były najciekawsze. Fascynowali mnie ludzie we frakach i krynolinach, dziwnie uczesani, w tradycyjnych pozach, kiedy to pan domu siedzi z nogą założoną na nogę, z laską czy fajką, a żona stoi nieco z boku za jego krzesłem lub fotelem. Ciekawiło mnie bardzo, kim byli i jacy byli, i mogłem o nich słuchać godzinami.

Czasem zastanawiam się, czy faktycznie nie opowiadano mi bajek, czy może to ja nie chciałem ich słuchać? Nie byłoby w tym nic dziwnego – mdły i naiwny Czerwony Kapturek nie był w stanie konkurować z opowiadaniem

o dramatycznej konnej ucieczce przed bolszewikami lub o zabawnych kawałach, jakie płatał sąsiadom pradziadek obszarnek. To po prostu nie była ta klasa. Ot, choćby to...

Obdarzony poczuciem humoru *pan na włościach* zamalował kiedyś właścicielom sąsiedniego majątku okna dziegiem. Byli ponoć strasznymi śpiochami, a chodziło o to, by sprawdzić, jak długo będą w stanie spać, przekonani, że ciągle jeszcze jest noc.

Innym razem nocą, wraz z wesołą kompanią, rozłożył sąsiadom na części weselną karete, wystrojoną i przygotowaną do porannego wyjazdu do kościoła – po wniesieniu jej w częściach na dach stodoły zmontowano ją ponownie. Pradziadek zdobył podobno morze wódki za zdradzenie, jak dokonał tej sztuczki, oraz za sprowadzenie karety z powrotem na ziemię.

À propos *włości* – nie było ich tak znowu wiele, zaledwie trzy tysiące hektarów, wystarczyło jednak, żeby moja matka miała pewne, hm... problemy w szkole średniej w czasie zwanym okresem *błędów i wypaczeń*. Wspominała czasami rozmowę, na którą zaproszono ją w związku z tymi hektarami do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UB). Wobec funkcjonariusza *bezpieki* matka – mówiąc dzisiejszym językiem – *rznąła głupa i szła w zaparte*. Twierdziła mianowicie, że nie ma pojęcia, jaki był majątek jej dziadka, może były to trzy hektary, może trzydzieści albo trzysta... Ona się na tym nie zna, nic nie wie, a w ogóle to chyba jakieś nieporozumienie. Widać udało jej się przekonać rozmówcę, bo maturę zdała bez żadnych przeszkód.

Pradziadek, o którym wspomniałem, nie zawsze miał poczucie humoru tak niewinne. Niektóre jego pomysły pozostają zagadką właściwie do dziś – na przykład sprawa córek. Pradziadek formalnie nigdy się nie ożenił, natomiast prostą kobietę,

z którą spędził większość życia, odważnie jak na tamte czasy, nazywał żoną. Ona wprawdzie nigdy nie pozwoliła sobie zwrócić się do niego bezpośrednio po imieniu, a przynajmniej nikt nigdy tego nie słyszał, ale to już inna sprawa. Ot, *pokręcony* związek, nie pierwszy i nie ostatni w naszej rodzinie.

Miał z nią pradziadek dwie córki. Jedną niedługo po urodzeniu odesłał na wieś, do rodziny *żony*. Dokładniej mówiąc, do czworaków. Drugą, była to późniejsza matka mojej matki, wychował w dworku. Przez całe lata izolował siostry, a kiedy wreszcie doprowadził do spotkania dorosłych czy dorastających już córek, doszło do niesmacznej i przykrew sytuacji: wielka pani w długiej sukni na przywitanie podała rękę do pocałowania swojej siostrze, chłopce ubranej w zgrzebny samodział... Co pradziadek chciał przez to osiągnąć, co udowodnić i komu, pozostaje i pewnie pozostanie już tajemnicą.

Kiedy byłem dzieckiem, babcia i jej siostra (zwana w rodzinie ciotką z Widawy) kontaktowały się z sobą już mniej więcej normalnie, czyli dwa, trzy razy w roku z okazji świąt. Zapamiętałem z jakiejś wizyty w naszym mieszkaniu spracowaną, starą, cichą kobietę.

Nie mniej ciekawie, a nawet tajemniczo, było z kolejnymi wstępnymi. Ktoś o nazwisku Kossak (podobno jakiś krewniak znanych malarzy) swoimi ciągotami narodowo-wyzwoleńczymi narobił sobie problemów i musiał jakoś zniknąć z widoku ówczesnych władz. Elementami tego znikania była zmiana nazwiska na bardziej popularne oraz ślub z prostą dziewczyną z Łodzi, córką majstra tkackiego.

Jak już wspominałem, majster i jego córka byli Niemcami z Lotaryngii i oboje kompletnie nie znali języka polskiego. Zresztą w tamtych czasach w Łodzi nie było to specjalnie potrzebne.

Pan młody wprowadzie biegle władał językiem niemieckim, ale najwidoczniej nie zamierzał się w tym języku porozumiewać w domu w nieskończoność. Wyzначzył więc żonie półroczny okres, w którym miała się polskiego nauczyć. Młoda dziewczyna zlekceważyła nakaz i w efekcie po sześciu miesiącach było wiele płaczu i złości – nie potrafiła porozumieć się ani ze służbą, ani z własnym mężem. W tych warunkach, rzecz jasna, opanowała język bardzo szybko. Ich syn był ojcem mojej matki.

Rodzina mojego ojca to drugi biegun – Rosja. Najpierw prawdziwa, carska, później Radziecka. Z dziadkiem (ojcem ojca) nie stykałem się zbyt często, więc i opowieści rodzinnych nie udało mi się od niego wydębić zbyt wiele. Zresztą człowiek ten niezbyt chętnie cokolwiek opowiadał. Miałem wrażenie, że właściwie całe życie bał się *czzerwonych*. Wiadać podczas rewolucji, a następnie wojny polsko-rosyjskiej, którą wykorzystał do ucieczki do Polski, napatrzył się różnych okropności. Paradoksalne wydaje się to, że jego kuzyn dochrapał się w ZSRR stopnia generała Armii Czerwonej.

W końcu, w odmętach czasu i przestrzeni, zupełnie nieodpowiedni ludzie się spotkali i w efekcie w drugiej połowie 1958 roku przyszedłem na świat.

Przychodzę na świat – obrazek 003

W połowie XX wieku, w okolicznościach bliżej mi nieznanych, spotkali się ludzie kompletnie nieodpowiedni i dzięki temu, a może właśnie mimo to, jesienią 1958 roku, wyjątkowo niezdrowo i o miesiąc za wcześnie, przyszedłem na świat.

Oczywiście wtedy nikt sobie jeszcze nie zdawał sprawy z faktu, że moi rodzice są zupełnie nieodpowiedni, zarówno dla siebie nawzajem, jak i dla mnie. Ale o tym nieco później.

Urodziłem się jako dziecko z nadzieją i niepokojem oczekiwane – podobno. Od ślubu rodziców minęło już kilka lat, matka miała za sobą dwa poronienia... Mało brakowało, a i ze mną by się nie udało. Przyszedłem na świat w ósmym miesiącu ciąży, wtajemniczeni wiedzą, że to znacznie większy problem niż z noworodkiem siedmio-, a nawet sześciomiesięcznym, i początkowo nie wykazywałem zbytnej chęci do życia. W szpitalu położniczym matkę kilka razy budzono w nocy słowami: *Proszę wstać, dziecko kona*, i sprowadzano pod inkubator, w którym leżałem.

Tę koszmarną historię, a zwłaszcza dramatyczne zdanie: *Proszę wstać, dziecko kona*, słyszałem od matki mnóstwo razy, może ze sto. Opowiadała mi ją z wyraźną przyjemnością i chyba czymś w rodzaju satysfakcji. Trwało to od mojego wczesnego dzieciństwa do samej jej śmierci.

Prawdopodobnie gdyby w moim domu istniał zwyczaj normalnego rozmawiania, porozumiewania się czy komunikowania, pewnie wreszcie kiedyś zapytałbym ją, czemu mi to robi. Po co? Co chce w ten sposób osiągnąć? No, ale z matką się nie rozmawiało (wydawanie poleceń czy komunikaty typu: *Trzeba wynieść śmieci*, to jednak nie rozmowa), więc do dziś nie wiem, czy oczekiwała wdzięczności, przeprosin, czy jedynie wystarczało jej wpędzanie mnie tą historią w poczucie winy.

Wspomniałem, że byłem dzieckiem chcianym i oczekiwanym – być może... Wierzę w każdym razie, że moim rodzicom, a matce na pewno, tak się wtedy mogło wydawać. Natomiast

faktem jest, że urodziła mnie, mając dwadzieścia osiem lat, kiedy oboje z ojcem mieli już za sobą kilka lat luźnego, dość wygodnego życia, bez większych problemów finansowych, zobowiązań czy odpowiedzialności za kogoś jeszcze.

Matka opowiadała czasem o swoim życiu przed moim urodzeniem i wyglądało na to, że wiele w nim było dancingów, rozmaitych wyjazdów, towarzystwa, zabaw. Poza tym matka namiętnie uprawiała lekką atletykę na dość wysokim poziomie, była też sędzią siatkówki – sportu wyraźnie było jej żal.

W końcu jakoś się jednak wykaraskałem i po kilku czy kilkunastu tygodniach matka wróciła ze mną do domu. Do siódmego roku życia domem był dla mnie *kolchoz* przy ulicy Ozimskiej w Opolu. Dokładnie w tym miejscu, gdzie obecnie straszy (są tacy, którzy twierdzą, że ponoć zdobi) futurystyczny, ze szkła i aluminium, biurowiec PZU.

Przez te siedem lat moi rodzice i ja tylko raz opuściliśmy *kolchoz* na dłużej. Był to tak zwany incydent jędrzejowski. Ojciec (bez wykształcenia) został kierownikiem prewentorium w Jędrzejowie, a matka (technik włókiennik) podjęła tam pracę jako dietetyczka. Bardzo szybko okazało się, że ojciec nadużywa kierowniczej władzy, alkoholu, służbowej kasy i zatrudnionych w prewentorium kobiet, więc jego dalsza kariera uległa pewnemu... hm... jak by to powiedzieć... zaburzeniu. Z podkulonymi ogonami wróciliśmy do Opola i *kolchozu*.

Z opowieści mojej matki, która to wydarzenie postrzegала jako jedno z większych upokorzeń w życiu z ojcem, wynika, że wtedy też po raz pierwszy zaproponowała mu rozstanie i rozwód. Ojciec – to też wiem z jej opowiadań – zastosował wówczas sprawdzony męski manewr i oświadczył,

że jak matka go porzuci, to on się otruje. I żeby wykazać determinację i poważne zamiary, przystąpił niezwłocznie do tego trucia się poprzez konsumpcję mydła toaletowego o wdzięcznej nazwie Siedem Kwiatów.

Matka wspominała, że było to widowisko żałosne (no, myślę!), ale... najwyraźniej jednak skuteczne, bo z ojcem została, przynajmniej na kilka lat.

W tamtym okresie ojciec miał wykształcenie podstawowe, matka dyplom technika. Były to czasy, w których mawiano jeszcze *pan/pani technik* i faktycznie tytuł ten miał istotne znaczenie i wartość. Matce jednak nie wystarczał, miała ambicje, chciała studiować. I tu znów na scenę wkroczył ojciec. Przekonał ją, że głupio będzie wyglądało, jeśli żona będzie miała wyższe studia, a mąż tylko podstawówkę, i jakoś namówił, żeby poczekała z tymi swoimi studiami, aż on zrobi maturę. Matka się zgodziła i – co było do przewidzenia – nigdy już wyższych studiów nawet nie zaczęła. Ojciec, odchodząc z tego świata, miał magisterium z prawa.

Po powrocie z Jędrzejowa do Opola i naszego *kolchozu* ojciec rozpoczął pracę w Zakładach Mięśnych oraz pobieranie nauk w wieczorowej szkole średniej. Matka pracowała wtedy w Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego (Cepe-lia). Ze swoim dyplomem i znajomością przedmiotu szybko została cenionym rzeczoznawcą i zarabiała kupę pieniędzy.

Kiedy w Zakładach Mięśnych wybuchła afera kryminalna – w tamtych czasach mnóstwo było rozmaitych afer przemysłowych i innych, a w przemyśle spożywczym to już obowiązkowo, było tylko kwestią czasu, kiedy wybuchnie kolejna – ojciec rzekomo (relacja nienawidzącej go matki) zadenuncjował swoich kolegów i współpracowników

i w zamian, w nagrodę, przyjęto go do pracy w milicji (MO). No, może... Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć; wiem skądinąd, że nawet w MO nie rwali się do zatrudniania kapusiów.

W 1963 roku urodził się mój brat, a w 1965 ostatecznie rozstaliśmy się z *kolchozem*, przeprowadzając się do nowego mieszkania w blokach. Od dłuższego już czasu między rodzicami było bardzo źle, nie było też tajemnicą, że ojciec ma kochankę. I rzeczywiście w niedługim czasie po przeprowadzce definitywnie opuścił dom i rodzinę. Ale zanim to nastąpiło...

Kolchozowe czasy – obrazek 004

Nasz *kolchoz* to było wyjątkowo duże mieszkanie w kamienicy przy ulicy Ozimskiej w Opolu. Nazwę tę wymyślił najprawdopodobniej mój dziadek – zaciekły antykomunista, wróg ówczesnego ustroju (zwanego socjalizmem), a zwłaszcza Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), który to kraj z syczącą nienawiścią nazywał Sowietami lub Bolszewią.

Moja babcia rodziła kilkanaście razy, lecz nie wszystkie jej dzieci dożyły do moich czasów. Większość jednak tak i, do pewnego momentu, wszyscy razem mieszkaliśmy w tym jednym mieszkaniu. Wszyscy, to jest babcia, dziadek, gromada wujków i ciotek (rodzeństwo mojej matki), w porwach z mężami i żonami, wreszcie moi rodzice i ja, później także mój brat. Być może dlatego dziadkowi kojarzyło się to z radzieckim kolchozem.

Co ciekawe, ja z tamtych czasów zupełnie nie pamiętam ciasnoty czy niewygody, na co wszyscy dorośli dość mocno narzekali. Mnie się w *kolchozie* podobało, bo zawsze

był pod ręką ktoś, gotów się ze mną bawić, poświęcać czas, a zwłaszcza opowiadać fantastyczne rodzinne historie, zamiast naiwnych i nudnych bajek.

Wydaje mi się jednak, że mieszkańcom dzisiejszych blokowisk winien jestem pewne wyjaśnienie – *kolchoz* zajmował całe piętro niewielkiej kamienicy. Wystarczająco jednak dużej, żeby miała dwa wejścia – od frontu i kuchenne (od podwórza, dla służby). Mam wrażenie, że kuchnia była w *kolchozie* większa niż całe moje obecne, dwupokojowe mieszkanie w bloku.

Co uciążliwe było na pewno? Jedna ubikacja (łazienki tam nie było) i piece na węgiel, który trzeba było nosić z piwnicy. Ale przecież jako dziecko nie nosiłem węgla, korzystałem w razie czego z nocnika i ktoś inny zajmował się moją toaletą, a zwłaszcza grzaniem na piecu wody do kąpieli czy praniem ciuchów w blaszanej balii, na tarze.

W tamtych czasach (połowa XX wieku) takie duże mieszkania nie były wcale czymś wyjątkowym. Także fakt zamieszkiwania ich przez wielodzietne i wielopokoleniowe rodziny nie był żadnym ewenementem. To dopiero pokolenie moich rodziców stawiało, zamiast kamienic z cegły, budynki mieszkalne w technologii wieloblokowej i wielkopłytowej, czyli popularne bloki. Także wtedy rodziła się moda na model rodziny zwany 2+2. Właściwie... w tej chwili nawet trudno mi sobie wyobrazić rozkład mieszkania, które miałyby na przykład jedenaście pokoi.

Brak w mieszkaniach łazienek także nie był wtedy niczym nadzwyczajnym. Nawet ubikacje nie były czymś powszechnym czy oczywistym. Dwadzieścia lat później, w centrum miasta, ludzie nadal mieszkali w kamienicach, w których

ubikacja była wspólna, na półpiętrze lub na parterze. Na peryeriach zdarzały się budynki z ubikacją na zewnątrz, w postaci drewnianej budki na podwórku. W jej drzwiach, nie wiem czemu, zawsze wycięty był otwór w kształcie serduszka – stąd pojawiające się czasem w literaturze określenie *domek z serduszkciem*; nie była to więc romantyczna altanka, jak mogłoby się komuś wydawać, ale po prostu wychodek.

Oczywiście, nieobecność łazienki w mieszkaniu nie oznaczała jakiegoś szczególnego braku higieny. Małe dzieci kąpano w blaszanych, ocynkowanych wanienkach, a jak dorosłym zachciało się kąpiele, to mieli do dyspozycji łaźnię miejską, gdzie za niewielką opłatą można było skorzystać w specjalnej kabinie z wanny lub prysznic, pożyczyć ręcznik i dostać mydło. Zabrano mnie tam kilka razy.

Budynek dawnej Opolskiej Łaźni Miejskiej jeszcze stoi. Na ulicy Reymonta, niedaleko skrzyżowania z ulicą Ozimską. Obecnie jest w nim jakiś dom handlowy.

Ozimska 3 to sam początek tej ulicy. Od placu Wolności *kolchoz* oddzielały tylko, ułożone pod numerem 1, nieistniejące od dawna: hotel Bristol i bar Zgoda. Te okolice to obecnie najlepsze i najdroższe lokalizacje w mieście. Także wtedy było to samo centrum – blisko Dworca Głównego, kilkaset metrów od Ratusza. Oczywiście nie miało to wtedy dla nikogo z mieszkańców żadnego finansowego znaczenia. W tamtym okresie nie było prawie w ogóle mieszkań własnościowych, prywatnych. Wszystkie właściwie należały do miasta (komunalne) albo spółdzielni. Lokatorzy tylko je wynajmowali. Prywatny można było mieć domek.

Uprawnienia właściciela mieszkania, administrowanego i zarządzanego przez odpowiedni wydział Urzędu Miejskiego, Powiatowego lub Gminnego, były bardzo szerokie. Na

przykład, jeśli na rodzinę zamieszkującą dany lokal przypadało *za dużo* metrów kwadratowych (według ówczesnych norm), do mieszkania można było dokwaterować kogoś jeszcze. Nie było więc niczym dziwnym zamieszkiwanie w dużym mieszkaniu dwóch rodzin, które wspólnie użytkowały kuchnię i ubikację – jeśli w mieszkaniu taka była.

Kiedy z *kolchozu* wyprowadzały się do swoich mieszkań rodziny ciotek i wujków, w taki właśnie sposób traciła kolejne pokoje moja babka. Ostatecznie kiedy mieszkała tam już sama, niedługo przed wyburzeniem kamienicy, zajmowała tylko dwa pokoje z kuchnią.

Z jednej strony wydaje się to oczywiście oburzające, skandaliczne, nie do przyjęcia, ale warto pamiętać, że było to zaledwie kilka lub kilkanaście lat po wojnie – wiele budynków było zburzonych, a ludzie w końcu gdzieś musieli mieszkać. Niestety, przeciąganie się takiego stanu rzeczy na kolejne dziesięciolecia było już raczej winą nieudolnego państwa i systemu gospodarczego w ogóle – choć oczywiście budownictwa mieszkaniowego w szczególności – a nie wojny światowej.

Mój kolega w takich warunkach mieszkał jeszcze stosunkowo niedawno. W dużym trzypokojowym mieszkaniu jego rodzina zajmowała dwa pokoje, a w trzecim mieszkała jakaś starsza, zupełnie dla nich obca kobieta. Przedpokój, kuchnia i łazienka były do wspólnego użytku. Skończyło się to w sposób naturalny, kobieta ta zmarła około 2004 roku. Dopiero od tego czasu jego rodzina ma w pełni samodzielne mieszkanie.

Samodzielne mieszkanie – to też określenie z tamtych lat, dziś już właściwie rzadko używane, jeśli w ogóle. A oznacza właśnie, że całe mieszkanie ma się dla siebie i swojej rodziny, bez żadnych obcych, sublokatorów itp.

Kiedy mieszkaliśmy w *kolchozie*, bardzo lubiłem wyglądać przez okno naszego pokoju albo okno w ubikacji; godzinami mogłem obserwować ruch i życie na ulicy Ozimskiej. Po drugiej jej stronie było kino Odra (obecnie Galeria Piastowska), w którym oglądałem pierwsze filmy Disneya, była księgarnia wydawnictw obcojęzycznych, zwana popularnie księgarnią rosyjską lub radziecką – faktycznie, w tym języku było tam najwięcej książek i albumów. W zasięgu wzroku miałem też sklepik Ruchu.

Spółdzielnia, która od 1973 roku nosiła pełną nazwę RSW Prasa-Książka-Ruch, dysponowała tysiącami wolno stojących budek, zwanych przez wszystkich kioskami Ruchu. Ten, który z takim upodobaniem obserwowałem, był wyjątkowy – wchodziło się do niego do środka – był jakby miniaturowym sklepikiem, a nie drewnianą budką na chodniku.

Tenże sklepik Ruchu prowadzili państwo M. Pamiętam ich jako ludzi bardzo starych, a więc mogli mieć wtedy może nawet po czterdzieści lat. Pewnego razu obserwowałem pana M. podczas rozmowy z matką, która robiła tam jakieś drobne zakupy. Wtedy po raz pierwszy, patrząc na starego człowieka, zastanawiałem się, czy on, patrząc na mnie, myśli o tym, że ja zobaczę ten świat i miasto takie, jakich on nigdy nie pozna. Ciekaw byłem, czy ten człowiek zazdrości mi, że mam o wiele więcej lat życia przed sobą niż on... Następną moją myślą, co chyba zupełnie naturalne, było wtedy pytanie, czy ja – gdyby udało mi się dożyć tak sędziwej starości – będę kiedyś patrzył na małe dzieci, zazdroszcząc im ich czasu. Miałem wtedy z pięć, sześć lat...

Lata sześćdziesiąte – obrazek 005

Lat pięćdziesiątych, z oczywistych względów, nie kojarzę zupełnie, natomiast z okresem 1962-1965 bywa już różnie. Wprawdzie czasem mam wątpliwości, czy faktycznie pamiętam jakieś wydarzenie, czy tylko opowieść o nim, ale nie dzieje się tak zbyt często. Niewątpliwie jednak pewien jestem, że...

Sklepek Ruchu po drugiej stronie ulicy Ozimskiej, który często obserwowałem z okna *kolchozu* i w którym często bywałem, miał drewniane podłogi. Po prostu z desek, jak w mieszkaniach. Tak samo było w sklepie z rowerami na ulicy Koraszewskiego i prawdopodobnie w wielu innych, ale te dwa pamiętam na sto procent. Oczywiście wtedy nie zastanawiałem się nad tym faktem, bo i niby czemu? Przypomniiał mi się po latach, kiedy w sklepach wszędzie były już rozmaite płytki, kafle, a czasem nawet wykładzina.

Podobnie było z piecami w sklepach i spluwaczkami w urzędach. O tym, że przecież coś takiego kiedyś istniało, że to pamiętam z dzieciństwa, uzmysławiałem sobie często po wielu latach przy jakiejś innej okazji (film, książka) albo i bez wyraźnej okazji.

Na przykład piece w sklepach wróciły w mojej pamięci dzięki odwiedzinom w księgarni, w niewielkiej miejscowości o nazwie Biała Prudnicka – tam, na zapleczu, stał taki właśnie piec i jeśli się nie mylę, używany był przynajmniej do połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

O ile piece w sklepach czy biurach nie powinny, na tak zwany zdrowy rozum, być niczym dziwnym – centralne ogrzewanie to wprawdzie wynalazek z czasów faraonów, ale w powszechnym użyciu w Opolu pojawiło się jednak